

Znieruchomiał, kiedy ja ujrzał i omal nie zagwizdał z wrażenia. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Wreszcie rzucił krótko:

— Idziemy!

Więźniów już nie dostrzegła, pociągnęli w dwóch kolumnach do pracy, więc nikt oprócz dwóch strażników nie był świadkiem ich nieoczekiwanej wyprawy. Kiedy usadowili się w minilocie, podał jej delikatny damski naszyjnik.

— Włóż to! — polecił.

Nieszczególnie pasował i skrzywiła się pod nosem.

— Po co? — zapytała.

— Jest ze specjalnym chipem i blokuje impulsy identyfikatora — niechętnie mruknął. — W osiedlu mają zabezpieczenia. Gdyby któryś z tych tumanów usiłował tam uciec, błyskawicznie zajęłaby się nim ochrona.

Ślizgacz oderwał się od ziemi, uniósł się i wartko pomknął nad dachami szarych więziennych bloków. Nabrał prędkości. Później przesuwiał się pod nimi tylko zryty pomarańczowy grunt. Minęli dwa małe lśniące jeziora, w których odbijało się zachmurzone brudnozielone niebo.

— Zapnij pasy! — ostrzegł ją Szkot. — Wychodzimy ze sztucznego pola.

Wykonała jego polecenie.

— Ma taki mały zasięg? — zdziwiła się.

— To prowizorka — wyjaśnił. — Istna partyzantka. Każdy tu się zabezpiecza w własnym zakresie. Cywile mają dość przyzwoity emitor grawitacyjny, ale nie obejmujący Station 2. Nasz jest do kitu. Mieliśmy awarie.

Dopływali do osiedla. Ciężenie wróciło do normy i wynosiło znowu 0,98 g. Zakonotowała sobie, że przelecieli nieledwie dwa kilometry. Pojazd znalazł się w strefie pozornego horyzontu i znie-nacka otoczenie się zmieniło. W ułamku sekundy wzrosło natężenie światła. Odniosła wrażenie, że nagle znaleźli się na innej planecie. Na czystym błękitnym niebie widniało teraz ziemskie słońce. Wokoło osiedla znaczyły się porosłe wirtualnymi lasami łagodnie zielone wzgórza.

— Nieźle się urządzili, nie?

— To fakt — odrzekła z podziwem. — Musiało to kosztować krocie.

Kaprawy naczelnik bywał tu chyba częstym gościem, bo gładko spłynął w dół, bez cienia wahania wybierając miejsce do lądowania. Osadził ślizgacz na parkingu przed najwyższym świecącym szkłem budynkiem. Napis wskazywał na to, że mieści się w nim siedziba konsorcjum. Stało tu już kilka podobnych maszyn. Jeszcze jedna tuż za nimi zgrabnie zeszła do lądowania, ale póki co nikt z niej nie rwał się do wysiadania.

Z wdziękiem wyskoczyła na zewnątrz i ciekawie rozejrzała się dokoła.

— O, rety! Mają tu trawniki i drzewka — zdębiała z wrażenia. — Prawdziwe cyprysy.

— To wszystko paskudnie sztuczne — wyprowadził ją z błędu, cedząc ze znawstwem. — Papierowo-plastikowe kwiaty jak w dwudziestym wieku na strzelnicach. — Czuł się w jej towarzystwie odrobinę skrępowany, ale zaraz pokonał onieśmienie. Wziął głębszy oddech. — Wejdziemy głównym wejściem — pokazał jej dłonią, przelamując milczenie. — W mig pozalatywiam interesy, a potem skoczmy do knajpki na najwyższym poziomie. Mają tam niezłe żarcie. I świetne desery.

Poszli, pakując się w stronę oszklonych drzwi. Po kobiecemu zajęła miejsce u jego boku. Musiała uznać, że należał do dosyć przystojnych facetów, jednak nadal mroziło ją budzące respekt spojrzenie jego groźnych oczu. Zło było złem. Kilka osób kręciło się w holu. Strażnik z ochrony nie zwrócił na nich uwagi.

— Czwarte piętro — szepnął bardziej do swoich myśli niż do asystującej mu laski. Winda ruszyła. Chwilę stali w skupieniu naprzeciw siebie. — Pchamy się do działu handlowego — wyjaśnił, zaglądając jej w twarz. — Tam pracuje mój koleżka.

Korytarz nie różnił się od innych. Sekretarka wpuściła ich bez słowa. Siedzący za biurkiem w nowocześnie urządzonym gabinecie młody szczupły Arab rozłożył szeroko ręce w geście powitania.

— O'Shea? Miło, że wpadłeś — rzucił. — A to?.. — zająknął się, a jego twarz się zmieniła na widok dziewczyny.